

## **Państwo wobec historii**

*O sporach wokół polityki historycznej w ostatnich latach dyskutują: Andrzej Friszke, Dariusz Gawin, Rafał Stobiecki i Kazimierz Wóycicki oraz Tomasz Wiścicki*

*Historycy i politycy: polityka pamięci w III RP,*  
red. Paweł Skibiński, Tomasz Wiścicki, Michał Wysocki,  
Wydawnictwo DiG oraz Muzeum Historii Polski,  
Warszawa 2011, s. 11-32.

# Państwo wobec historii

## O sporach wokół polityki historycznej w ostatnich latach dyskutują: Andrzej Friszke, Dariusz Gawin, Rafał Stobiecki i Kazimierz Wóycicki oraz Tomasz Wiścicki

**Tomasz Wiścicki:** *Toczone w ostatnich latach debaty o polityce historycznej mają swoją prehistorię. Wydaje się, że punktem wyjścia tych dyskusji były zróżnicowane diagnozy lat dziewięćdziesiątych w interesującej nas dziedzinie. Jak więc – Panów zdaniem – wyglądały te lata dziewięćdziesiąte? Czy był to – jak twierdzą jedni – czas zaniechań, czy wręcz przeciwnie?*

**Kazimierz Wóycicki:** Sądzę, że istniały dwie przeciwstawne postawy wobec przeszłości, które stopniowo ukształtowały się w bardziej wyraziste nurty. Zgodziłbym się też, że istniały zaniechania – raczej natury intelektualnej – choć nie przypisałbym nikomu złej woli. Obie strony były często tak zaciętrzewione, że bardziej liczyła się polemikami z antagonistami niż chłodny namysł nad tym, w jak nowej sytuacji znalazła się Polska i jak dalece wymaga to nowego sposobu opowiadania o własnej przeszłości.

Z jednej strony pojawiło się wyraźne westchnienie ulgi, że wreszcie możemy wyzwolić się z polskiej traumy, związanej z ciężkim historycznym doświadczeniem, że można patrzeć w przyszłość nie zadręczając się przeszłością, bo właściwie każde odwołanie się do trudnej przeszłości tak w tym nurcie było odbierane. Z drugiej strony istniało przekonanie, że dopiero teraz będziemy mogli powiedzieć całą prawdę, którą przedtem tłumiono.

Obie strony zgadzały się na debatę o białych plamach i wydawało się, że właściwie wiemy, jak ta nasza historia wyglądała – oprócz tych właśnie białych plam, czyli kwestii, o których nie wolno było mówić, bo zabraniała tego komunistyczna władza. Sądzono, że gdy te białe plamy wypełnimy, uzyskamy w miarę pełny obraz przeszłości.

Jedno i drugie okazało się złudzeniem. Gdy sytuacja polityczna zmienia się tak zasadniczo jak w roku 1989, o przeszłości trzeba zacząć opowiadać zupełnie inaczej. Sposób, w jaki przed rokiem 1990 opowiadaliśmy sobie na bieżąco historię PRL, był uwarunkowany sytuacją polityczną. Ta nasza opowieść miała pewne cele, takie jak budowa ruchu opozycyjnego i „Solidarności”, wzmocnienie tożsamości itd. Kiedy PRL się skończyła, ta opowieść jako pewna struktura narracyjna straciła swoją funkcję. Trzeba było zastanawiać się, jak opowiedzieć historię od nowa, zbudować nowy sens.

Odnalezienie tej nowej opowieści i nowego sensu było bardzo trudne. Niektórzy mówili wręcz, że trzeba w ogóle zaniechać opowiadania naszej historii, bo sposób, w jaki ją opowiadamy, jest zawstydzający – to jest ta nasza „nie do wytrzymania” martyrologia, której Europa nie będzie chciała słuchać. Inni znów chcieli brać rewanż na upadłym już komunistycznym wrogu i szukali nowych wrogów, na których by mogli wylać żal z przeszłości. W tle była też debata lustracyjna – nieszczęsna w tym znaczeniu, że nie potrafiąco w rozsądny sposób jej zacząć, w związku z czym od początku polaryzowała społeczeństwo.

**Andrzej Friszke:** Radykalnie się z tą oceną nie zgadzam. Uważam, że lata dziewięćdziesiąte były okresem niezwykle płodnym, jeśli chodzi o debatę nad historią, i to na wszystkich poziomach. W latach dziewięćdziesiątych zostały wydane właściwie najważniejsze monografie, opisujące historię powojenną – a co najmniej przystąpiono do ich opracowania. Także w latach dziewięćdziesiątych odbyło się najwięcej poważnych debat prasowych o historii PRL. Przypomnę wielką dyskusję w „Tygodniku Powszechnym” zatytułowaną *Spór o PRL*, która w 1996 roku ukazała się w książeczce. „Rzeczpospolita” publikowała całe cykle różnych wypowiedzi, ciekawych dokumentów i analiz. W „Gazecie Wyborczej” też było mnóstwo materiałów z tym związanych. Mam pękate teczki z wycinkami z tego okresu na najrozmaitsze tematy, głównie wypełniające różne białe plamy, ale

będące też próbami interpretacji. Przypominam, że to jest też czas gruntowania podstawowej wiedzy o UB, a także wykorzystania jej do opisu wielkich zjawisk społecznych, by wspomnieć ważną monografię Pawła Machcewicza o roku 1956. To jest czas procesu Humera i innych oficerów UB oraz towarzyszących temu licznych artykułów prasowych, wypowiedzi, dyskusji. To jest czas książek Jerzego Poksińskiego dotyczących procesów i śledztw stalinowskich, publikacji licznych dokumentów, poczynając od materiałów pod redakcją Andrzeja Paczkowskiego o sfałszowanym referendum z roku 1946. Paczkowski uruchomił serię wydawniczą, w której ukazała się już cała półka materiałów z dokumentacją dotyczącą lat PRL. Gdy mówimy o książkach, to ukazało się kilkadziesiąt monografii, zbiorów dokumentów, także diariuszy i wywiadów rzek.

Przypomnę też dwie wielkie, bezprecedensowe konferencje – w Jachrance i Miedzeszynie – na temat „Solidarności” i roku 1989. Zgromadziły one wszystkie strony, zarówno w skali krajowej, jak i międzynarodowej. Odbyta wówczas dyskusja o wielkich przełomach oraz zgromadzony tam i później opublikowany materiał zostaną po wsze czasy jako fundamentalnie ważne. Zwłaszcza konferencja w Jachrance została też szeroko omówiona w prasie.

Do tego dochodzą filmy. W latach dziewięćdziesiątych w telewizji około godziny dziewiętej-dziesiątej wieczór można było obejrzeć filmy o Stalinie, Mao Tse-Tungu, Leninie, Trockim, Hitlerze, obozach, gułagu, Julii Bristigerowej, Janie Nowaku, Grudniu 1970. Czerwcu 1976 czy KOR, jak również fabularny serial o Piłsudskim... Po roku 2000 filmów dokumentalnych o historii najnowszej nie ma albo są wyświetlane o drugiej w nocy. Mam głębokie wrażenie, że telewizja w ostatnim dziesięcioleciu zrezygnowała z ambitnych programów, w tym także kształtowania wiedzy i dyskusji o historii najnowszej.

W latach dziewięćdziesiątych zostały postawione pytania badawcze, którymi dziś nikt się nie zajmuje, mimo że są podstawą poważnej rozmowy o PRL. Czy był to kraj totalitarny, czy nie? Jaki był zakres suwerenności? Jaki stopień modernizacji? Czy w tym okresie cofnęliśmy się, czy nie? Te pytania można z przyczyn politycznych uchylić na dziesięć czy dwadzieścia lat, ale one wrócą. To są najważniejsze pytania dotyczące PRL, za sto lat też będzie się je stawiać.

Reasumując: w latach dziewięćdziesiątych polska historiografia, a także publicystyka historyczna, dopracowywały się solidnego,

rzetelnego, naukowo sprawdzalnego mechanizmu badań, analiz i dyskusji na temat PRL. Oczywiście, nie przeczę, były środowiska, które nie chciały brać w tej dyskusji udziału, ale liczne kręgi świadków i znawców przeszłości w niej uczestniczyły. Natomiast w latach ostatnich, po roku 2005, taka rozmowa stała się w ogóle niemożliwa. Ludzie są tak podzieleni, że nie są w stanie usiąść przy jednym stole.

**K. Wóycicki:** Skoro w latach dziewięćdziesiątych postawiono podstawowe pytania badawcze, którymi dziś nikt się nie zajmuje, to coś jednak musiało się wydarzyć. Czy źródła tego podziału nie tkwią w latach dziewięćdziesiątych?

**Dariusz Gawin:** Gdy dziś czytamy publicystykę z lat dziewięćdziesiątych, ówczesne spory, również historyczne, wydają się równie antagonistyczne jak dzisiejsze.

**Rafał Stobiecki:** W pełni solidaryzuję się z tym, co przed chwilą powiedział profesor Friszke. Moim zdaniem teza, że lata dziewięćdziesiąte były okresem zaniechań, jest w elementarnym znaczeniu tego słowa nieprawdziwa. Gdy przyjrzymy się różnym sferom, w których funkcjonuje argumentacja historyczna, to bez względu na to, czy to będzie sfera symboliczna, czy refleksja publicystyczna, czy akademicka historiografia – zmian, które wówczas nastąpiły, nie sposób nie dostrzec. Zaczynając od sfery symbolicznej: zmienione zostały wówczas święta narodowe, w całym kraju mieliśmy do czynienia z akcją w jakimś sensie spontaniczną – zmiany nazw ulic, placów, niszczenia pomników – najbardziej spektakularna była historia warszawskiego pomnika Dzierżyńskiego. W mediach tej przeszłości był wręcz – mam wrażenie – nadmiar: dzisiaj młodzi ludzie odreagowują tę wszechobecność historii w debacie publicznej w latach dziewięćdziesiątych. I wreszcie kwestia historiografii akademickiej: tutaj też w pełni się zgadzam, powstały wtedy setki artykułów, monografii, syntez, dotyczących okresu powojennego.

Czym innym natomiast jest pytanie, jak z dzisiejszej perspektywy możemy oceniać obecność PRL w historiografii i w pamięci społeczeństwa. Mimo zabiegów, które wówczas podjęto, oczywiste jest dla mnie, że PRL w dalszym ciągu nas dzieli, w niektórych środowiskach w sposób absolutnie fundamentalny.

**D. Gawin:** Mnie się wydaje, że od lat dziewięćdziesiątych stale powtarza się pewne nieporozumienie, które utrudnia dyskusję na te tematy. Polega ono na tym, że to, co powiedział Kazimierz Wóycicki, i to, co powiedział profesor Friszke, traktowane jest jako stanowiska przeciwstawne, podczas gdy one oba są prawdziwe. Należałoby uzgodnić płaszczyznę, na której dyskutujemy. Można powiedzieć, że ci, którzy mówią o zaniechaniu, nie są niestety dość precyzyjni i ten brak precyzji rodzi możliwość nieporozumienia. Jeżeli mówi się, że w latach dziewięćdziesiątych były zaniechania czy problem z pamięcią historyczną, to nieporozumienie bierze się stąd, że historycy – szczególnie zawodowi – odbierają to jako zarzut, że w latach dziewięćdziesiątych nie wychodziły czasopisma naukowe, nie odbywały się konferencje, nie pisano książek, nie broniono doktoratów, nie przeprowadzono przewodów habilitacyjnych, nie toczono dyskusji prasowych i tak dalej. Oczywiście to jest absurd: to wszystko było.

Teza o zaniechaniu przenosi całą dyskusję na poziom polityczny. Przed tym historycy zawodowi się bronią – i trudno im się dziwić, ale to tej dyskusji nie unieważnia. Historycy bronią się przed dyskusją o politycznych konsekwencjach pamięci, ponieważ mówią, że to nie jest ich obszar działania – i to jest prawdą: to nie jest dziedzina historyków akademickich. Chociaż prawdą też jest, że historycy akademicy bywają wykorzystywani przez wszystkie strony sporów politycznych i sami także zabierają w nich głos, ponieważ – jak każdy obywatel w demokratycznym społeczeństwie – mają poglądy polityczne. Przydałoby się zdefiniowanie tej dyskusji jako sporu w obrębie wielkiej inteligencko-obywatelskiej rodziny obywateli III RP. Jeżeli mamy dyskutować o polityce historycznej, a nie o historiografii, dobrze byłoby zrobić to zastrzeżenie i przesunąć obszar dyskusji do sfery obywatelsko-politycznej. Należy więc zapytać o związki pomiędzy pamięcią historyczną a tożsamością Polaków po 1989 roku oraz tożsamością III Rzeczypospolitej i demokracji liberalnej budowanej po polsku.

W tym sensie zgadzam się z wypowiedzią profesora Friszkego, że lata dziewięćdziesiąte były okresem bardzo interesującym. Choćby dyskusja o totalitarnym charakterze PRL: ona była intelektualnie ciekawa, ale ma też konsekwencje polityczne, chociażby dlatego, że definiowanie stopnia represyjności poprzedniego ustroju może mieć bezpośredni związek na przykład z ustawodawstwem dotyczącym uczestników aparatu represji w tym ustroju.

Zresztą to lewica zapoczątkowała sposób myślenia o PRL jako o totalitaryzmie. Pojęcie totalitaryzmu, które rewizjoniści w latach sześćdziesiątych jednoznacznie uznawali za reakcyjne, ponieważ posługiwali się nimi tacy imperialistyczni ideolodzy antykomunizmu jak Zbigniew Brzeziński, dziesięć lat później zaczęło być używane przez Kuronia, Michnika czy Kołakowskiego. Paradoks polskiej sytuacji polega na tym, że ludzie, którzy w 1971 czy 1972 roku posługiwali się pojęciem totalitaryzmu do opisu rzeczywistości Gierka, stali się zdecydowanymi politycznymi przeciwnikami tych, którzy używali pojęcia totalitaryzmu do opisu PRL w roku 1990 czy 1991. Mogę się zgodzić z profesorem Friszke, że dyskusje z lat dziewięćdziesiątych były interesujące, chociażby dyskusja wokół stanowiska Andrzeja Walickiego dotyczącego pojęcia totalitaryzmu.

Inną natomiast sprawą jest na przykład to, czy istnieje jeden model stosunku demokracji liberalnej do przeszłości – tak jak uważano w latach dziewięćdziesiątych, i czy w ogóle dyskusja na ten temat jest dopuszczalna, nie tylko intelektualna, ale także polityczna. Tymczasem demokracje tak funkcjonują, że obywatele decydują o tym, co się staje przedmiotem sporu, nie istnieje nikt, kto mógłby zdecydować o tym, że jedne tematy są uprawnione, a inne nie.

**K. Wóycicki:** Moim zdaniem pytań fundamentalnych wtedy nie postawiono. W okresie, kiedy kończy się dyktatura i zaczyna społeczeństwo otwarte, fundamentalne jest przede wszystkim pytanie o biografie, o postawy, o sens określonego postępowania. Bardzo szybko rozstrzygnięto, że pewnych sporów prowadzić nie należy. Pojawiły się pewne tabu, choć nikt świadomie nie ustalał katalogu problemów zabronionych. Nie można było na przykład powiedzieć, że Leszek Kołakowski był w swoim czasie stalinistą, który towarzyszył procesom biskupów niebywale agresywną publicystyką przeciwko tomizmowi – uznając zarazem jego późniejsze zasługi i istotną rolę w pobudzaniu niezależnego myślenia. W wielu wypadkach nie było zdolności dyskusowania w dojrzalszy sposób na temat meandrów biografii wielu z całą pewnością wybitnych postaci – takich jak Kołakowski. Dla jednych jest on absolutnym mistrzem, dla drugih nikim. Takie podziały świadczą o mizerii życia intelektualnego. Tymczasem bardziej zawansowanych pytań postawić nie umiano. Zamiast tego podzielono się na dwa obozy: tych, których zdaniem takich pytań w ogóle

stawiać nie wolno, i tych, dla których wciąż trzeba kogoś za przeszłość wyłącznie oskarżać. Dodajmy jeszcze, że często oskarżano akurat nie tych, którzy najbardziej na to zasługiwali. Nie było na te trudne tematy pogłębionej, czyniącej odpowiednie dystynkcje dyskusji – i dotychczas toczy się ona dość wątlm nurtem.

Nie było też dyskusji o dwudziestoleciu międzywojennym, o znaczeniu drugiej Rzeczypospolitej. Nie przeprowadzono poważnej dyskusji na temat „długiego trwania”: czy ważniejszy dla nas jest wiek XIX, czy pierwsza Rzeczpospolita, dokąd sięgamy po wzorce, o sferze symbolicznej. Nie zadano, moim zdaniem, fundamentalnych pytań. Zastosowano gotowe schematy.

Pan profesor Stobiecki mówił o zmianie nazw ulic i burzeniu pomników. Owszem, Dzierżyńskiego w Warszawie zwalono, natomiast na prowincji ulice czy osiedla Gwardii Ludowej są do dzisiaj.

**T. Wiścicki:** *Już w wolnej Polsce jechałem – w Siemianowicach Śląskich – ulicą Świerczewskiego, a w Żaganiu nocowałem przy ulicy X-lecia PRL.*

**K. Wóycicki:** Ten proces był bardzo powierzchowny, a zmiana ulic budziła wielkie kontrowersje: że to jest nieładne, narzucone, a przede wszystkim kosztuje, bo trzeba wymieniać tablice, szyldy i dokumenty.

W pięćdziesiątą rocznicę Powstania Warszawskiego nie było żadnych godnych tej rocznicy obchodów.

**A. Friszke:** Pamiętam wielkie, trwające wiele godzin uroczystości na placu Krasińskich, z udziałem prezydenta Niemiec.

**K. Wóycicki:** No właśnie. Główną atrakcją obchodów było zaproszenie prezydenta Niemiec, który zresztą wygłosił świetne przemówienie. Ale co mieliśmy do powiedzenia sami sobie w trakcie tej rocznicy, po półwieczu PRL, gdy pamięć o powstaniu stanowiła tabu. Intencją pojednania z Niemcami była oczywiście jak najbardziej godna pochwała. Jednak moim zdaniem po całym okresie PRL, w którym pamięć o powstaniu wymazywano, pierwszorzędnym zadaniem było danie satysfakcji generacji żołnierzy AK. Obecność prezydenta Niemiec budziła moją satysfakcję, ale wolałbym, aby bardziej na

pierwszym planie były wewnętrzne sprawy polskie. Dla mnie bohaterem dnia miał być ktoś taki jak Władysław Bartoszewski, a nie prezydent Niemiec, choć nie należy ani tych wybitnych osób sobie przeciwstawiać, ani też pomniejszać znaczenia obecności Niemca podczas takiej uroczystości. W żadnym wypadku nie stawiam zarzutów, a jedynie zadaję pytanie, czy posiadliśmy sztukę komponowania w odpowiedni sposób skomplikowanej symboliki związanej z obrazami przeszłości.

**R. Stobiecki:** Pytanie o biografię jest pytaniem o system i nie da się tego rozdzielić. Nie wydaje mi się, żeby w latach dziewięćdziesiątych te pytania o biografię stanowiły tabu. Oczywiście, te kwestie nie znajdowały się w głównym nurcie dyskusji o PRL, ale przecież środowisko krakowskich „Arcanów” kierowanych przez Andrzeja Nowaka kwestie uwikłania polskiej inteligencji w stalinizm podejmowało wielokrotnie. Inna sprawa, co chcemy o tym sądzić i czy odpowiada nam sposób dyskusowania na przykład na temat poezji Wisławy Szymborskiej przez pryzmat jednego wiersza, napisanego w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych.

Przykład z mojego, łódzkiego podwórka: na początku lat dziewięćdziesiątych na mojej macierzystej Radzie Wydziału Filozoficzno-Historycznego była dyskutowana sprawa doktoratu *honoris causa* dla Leszka Kołakowskiego i podnosiły się głosy, że Uniwersytet Łódzki nie może przejść do porządku dziennego nad rolą profesora Kołakowskiego w początkach mojej *alma mater*, kiedy występował on jako wojujący marksista. Jeden z profesorów, dodam: w czasie drugiej wojny światowej żołnierz AK, napisał nawet list protestacyjny w tej sprawie, który był kolportowany wśród pracowników uczelni.

**T. Wiścicki:** *Ale jaka była na to reakcja? Czy to zostało potraktowane jako uprawniony głos w dyskusji, czy jako oburzający atak?*

**R. Stobiecki:** I tak, i tak. Jedni uważali, że to jest absolutnie niedopuszczalne uderzenie w wielkość Leszka Kołakowskiego, a inni – szczególnie w starszym pokoleniu – traktowali to jako normalną reakcję w ramach dyskusji wewnątrz uniwersytetu. Na to nakłada się kwestia, która nam umknęła, kiedy mówimy o wątku biograficznym. Otóż większość z nas ma poczucie – prawdziwe lub nie – że polska

inteligencja nie przeprowadziła uczciwego rachunku sumienia związanego z przeszłością peerelowską. Nie chcę generalizować: inaczej to wygląda w środowisku literatów, inaczej – historyków. Przywołam tu znakomity tekst – do dzisiaj zresztą aktualny – Stefana Kieniewicza z 1989 roku z „Tygodnika Powszechnego”, zatytułowany właśnie *Rachunek sumienia*. Kieniewicz apeluje tylko o jedno: żeby historycy, którzy przez lata pisali w określonym duchu, w określonej konwencji, w przypisie do nowej książki zaznaczyli, że „wtedy pisałem/pisałam tak, a dzisiaj chciałbym inaczej”.

Natomiast w jednej rzeczy z panem Wóycickim chciałbym się zgodzić i głęboko solidaryzować. Otóż w obrębie sporu o politykę historyczną czy politykę pamięci nie zostało postawione pytanie o dziejów sens dziejów Polski, o nasz stosunek do tradycji, a jeśli zostało postawione, to odpowiedzi były dalece niesatysfakcjonujące. Te kwestie są marginalizowane, niewiele jest wypowiedzi do tego się odnoszących. Przychodzi mi tu do głowy cykl artykułów Andrzeja Mencwela w „Rzeczpospolitej”, w których on się upomina o to, że właśnie w ramach dyskusji o polityce historycznej powinniśmy sobie zadać pytanie o sens dziejów Polski, tak jak to czynili na przykład Lelewel i Bobrzyński w XIX wieku.

**A. Friszke:** To nieprawda, że w latach dziewięćdziesiątych nie było solidnych narracji historycznych ani intelektualnie ambitnych wizji rozliczenia PRL. Przypominam świetne eseje profesora Tadeusza Łepkowskiego – jeszcze z lat osiemdziesiątych, on niestety zmarł w roku 1989 – pokazujące pewien typ narracji o polskich losach. Przypominam Krystynę Kerstenową, która dla mnie jest autorytetem metodologicznym, a jej prace – fundamentem, na którym może być budowana solidna historiografia PRL, a które oczywiście w ramach tej wersji, o której tu jest mowa, muszą być odrzucone.

To co Panowie powiedzieli jest z pewnego punktu widzenia uzasadnione, tylko że wobec historyków oznacza to po prostu żądanie udziału w fałszowaniu historii. Panowie wymagają od historyków, żeby nie kierowali się zasadami swojego zawodu, tylko myśleli przede wszystkim o kontekście politycznym swoich prac i zainteresowań, a więc by wydawali mocne osądy, a nie myśleli o kontekście czasu i miejsca, w których opisywane przez nich postacie działały. Oczekują Panowie, żeby zaangażowali się albo przynajmniej nie protestowali przeciwko

temu, że ich ustalenia są manipulowane w celach budowania politycznych ideologii, nawet bardzo im niemiłych; żeby zaakceptowali fakt, że ich ustalenia nie mają przełożenia na to, co kiedyś nazywano upowszechnianiem historii, a dzisiaj się nazywa właśnie polityką historyczną, czyli na audycje telewizyjne, na bohaterów ulic. Przed tym się broniliśmy w PRL, a z tego, co Panowie mówią, wynika, że nie powinniśmy byli, bo manipulacja historią przez władze jest naturalna. Historyk przestaje być historykiem, jeżeli odejdzie od obiektywizmu – to jest zasada fundamentalna, warunek zawodowej uczciwości. Jeżeli postanowi, że będzie opisywał jakąś rzeczywistość po to, żeby ją odsądzić od czci i wiary, albo bohatera po to tylko, żeby pokazać, że był zdrajcą, w tym momencie przestaje być historykiem, a zamienia się w propagandystę.

**T. Wiścicki:** *A jeżeli chce napisać, że jest wspnianały?*

**A. Friszke:** Może tak być. Istnieją liczne bardzo poważne prace historyków zafascynowanych swoim bohaterem, na przykład Napoleonem, które traktujemy poważnie. Bliżej naszych czasów – mamy *Najnowszą historię polityczną Polski* Poboga-Malinowskiego, która oczywiście jest hagiografią Piłsudskiego, ale nikt nie neguje jej głębokiej wartości naukowej, bo przynosi moc informacji. Nawet biografie Hitlera powstające współcześnie nie mogą sprowadzać się do tego, że był on bandytą. Wymagania warsztatowe nakazują uwzględnić jego psychologię czy uwarunkowania społeczne, a jeśli historyk to pominie – przestaje być historykiem.

Pewnej grupie politycznej ten obiektywizm zaczął przeszkadzać i zaczęła go atakować. W związku z tym nie uwzględnia tych dyskusji z lat dziewięćdziesiątych czy filmów, o których mówiłem, bo one przeszkadzają, bo w nich obowiązywała opisywana przeze mnie logika. Na przykład film o Bristigerowej miał pokazać, dlaczego ta pani była właśnie taka. Oczywiście wniosek musiał być negatywny, ale subtelnie, a nie nachalnie.

Nurt radykalny, nurt pytań o biografie, zaistniał już wcześniej – przypominam choćby *Hańbę domową* Jacka Trznadła, jeszcze wcześniejszą, były i inne, okropne, zupełnie na poziomie debat historycznych z lat ostatnich. Pytaniu o biografię musi towarzyszyć pytanie o okoliczności czasu i miejsca. Był zresztą świetny artykuł, oczywiście

niezauważony przez pewnych publicystów, o Instytucie Kształcenia Kadr Naukowych przy KC. W „Życiu Warszawy”, którego redaktorem naczelnym był Kazimierz Wóycicki, ukazało się mnóstwo bardzo ważnych artykułów dotyczących PRL i wiele istotnych dyskusji.

Żałuję wielce, że nie ma dyskusji o II RP – to jedyny punkt, z którym się mogę zgodzić. Bardzo bym chciał takiej poważnej dyskusji, a także dobrego podręcznika na ten temat, który można by było polecić studentom. Dlaczego takie książki nie powstały? Bo wszyscy się zabrali za PRL właśnie. Ale problem nie polega na tym, że ktoś nie chce dyskutować o II RP, bo na ten temat dyskutować można, twórczo pokazując i plusy, i minusy, na przykład dotyczące warunków gospodarczych czy – w pewnych okresach – praworządności, wobec których nawet PRL była postępem.

**D. Gawin:** Słucham pana profesora Friszkego ze smutkiem i niepokojem, dlatego że dostrzegam u Pana skłonność do pewnego rodzaju manicheizmu intelektualnego, jakby chodziło o starcie sił jasności i ciemności. Powiedział Pan profesor, że żaden uczciwy historyk nie będzie zniżał się do poziomu polityki. To tak, jakby ekonomiści mieli żal, że dyskusja na temat stóp procentowych przenosi się na obszar namiętności politycznych. Pamięć we wspólnocie politycznej jest kwestią naprawdę istotną, i jest także przedmiotem polityki. To nie jest straszne. Wyczuwam tutaj pewną idiosynkrazję, którą wynieśliśmy z PRL, że jakakolwiek instytucjonalizacja i polityzacja takich sfer, jak na przykład ekonomia czy pamięć historyczna, otwiera szeroko drogę dla zagrożenia totalitarnego. Rozumiem tę idiosynkrazję, natomiast demokratyczne społeczeństwa tak nie funkcjonują. W takim społeczeństwie te wszystkie dyskusje i procesy odbywają się w czymś, co można określić jako demokratyczne środowisko: wolność słowa, pluralizm, demokratyczna kontrola. W systemie takim, jakim była PRL – totalitarnym, posttotalitarnym czy jakkolwiek go nazwiemy – tych trzech elementów nie ma.

Spółeczeństwa republikańskie od samego początku funkcjonowały w taki sposób, że demokrację zakorzeniały w wartościach, które potrzebowały przykładów, a te brano z przeszłości. Tak postępowali i amerykańscy Ojcowie Założyciele, i twórcy Republiki Francuskiej. Wybór ludzi, którym stawia się pomniki, umieszcza na znaczkach pocztowych i o których uczy się w programach nauczania

obywatelskiego, jest jak najbardziej polityczny. W Polsce to słowo jest tak naznaczone, że nawet sami politycy, gdy chcą zaatakować swoich przeciwników, mówią, że jakaś ich decyzja miała charakter polityczny. To groteskowe: a jaki miała mieć?

Początek lat dziewięćdziesiątych w Polsce był momentem stanowienia wspólnoty politycznej czy porządku politycznego. Pewne problemy czy decyzje, które społeczeństwo amerykańskie ma za sobą od dwustu lat, a zachodnioeuropejskie od wielu pokoleń, my musieliśmy podejmować właśnie wtedy, w ciągu kilku lat. Jasne jest, że to się stało przedmiotem walki politycznej. Czy w tej walce wszyscy grali *fair*? Nie. Ale czy każdy, kto powiedział, że tak należy robić, nie grał *fair*, czy niemożliwe są gradacje natężenia złej i dobrej woli, czy nie można tego stopniować? Właśnie dlatego przestrzegałbym przed takim absolutnym odcięciem się historyków od polityki.

**K. Wóycicki:** W demokracji nie możemy nawet ustalić jednoznacznie, co to właściwie znaczy grać *fair*.

**D. Gawin:** Pan profesor Friszke mówił o obiektywizmie: jeżeli ktoś naruszyłby profesjonalne zasady postępowania historyka, można to łatwo opisać i to właśnie jest nie *fair*. W tym sensie to podlega weryfikacji. Na przykład w demokratycznym społeczeństwie trudno ze zbrodniarza zrobić bohatera. W totalitaryzmie można kazać ludziom czcić zbrodniarza jako bohatera, natomiast w demokracji w długiej perspektywie to się nie udaje. Można zdobyć taką większość, że to się uda przez cztery lata, ale prędzej czy później władzę się straci.

**A. Friszke:** Zgadzam z tym z tym, co powiedział pan Gawin, że dla autorytetu republiki konieczne są pewne punkty odniesienia: pomniki, muzea, cmentarze, znaczki pocztowe, programy szkolne, nazwy ulic. Tyle tylko, że właśnie to wszystko w latach dziewięćdziesiątych funkcjonowało. Być może zostały jeszcze wtedy gdzieś pomniki Świerczewskiego czy Lenina, ale narracja pozytywnych odniesień do przeszłości została wypracowana właśnie wtedy. Przypomnę tutaj ogromną kwestię cmentarzy – poczynając od Katynia, poprzez cmentarze wojenne, aż po cmentarze niemieckie w Polsce. To niesłychanie trudna sprawa, jak się odnosić do „nieswoich”. Jednym z elementów budowania legitymizacji demokratycznego państwa jest właśnie wolny

od nacjonalizmu sposób opowiadania o polskiej przeszłości. Chodzi o to, by w polską tradycję wprowadzić takie kwestie, jak niemieckie cmentarze, stosunki z Ukraińcami, z Żydami, i stworzyć taką narrację, która nie rani obcego, oddaje mu szacunek, ale zarazem nie oznacza uszczerbku dla naszego własnego poczucia wartości. W latach dziewięćdziesiątych to się moim zdaniem znakomicie udało, poprzez odniesienie do wielonarodowej tradycji I Rzeczypospolitej. Dyskusja, która dotyczyła Jedwabnego, przez pewną część odbiorców została potraktowana historycznie jako próba naruszenia poczucia dumy narodowej, ale przecież nie oznaczała ona zmiany opowieści o tym, czym była Polska w tym czasie. W latach dziewięćdziesiątych nastąpiła legitymizacja wolnego państwa polskiego, przy założeniu braku radykalnego rozliczania personaliów, poza zbrodniarzami z UB. Przypominam, że jedyny głośny na cały kraj proces ubeków – Humera i towarzyszy – odbył się właśnie wtedy.

**K. Wóycicki:** Środowisko historyczne moim zdaniem nie dokonało autorefleksji, i to nie tyle nawet biograficznej, ile raczej dotyczącej skutków pewnych ustępstw dokonywanych w PRL. Jest taka anegdota o matematykach, że podobno najwięksi z nich, przedstawiciele szkoły lwowsko-warszawskiej, spotkali się i uznali, że w żadnym razie nie będą zajmować się filozofią, choć na tym była oparta wielkość tej szkoły przed wojną, tylko wytłumaczą komunistom, że matematyka to tylko obliczenia, które dobrze służą inżynierom, i wtedy władza da im spokój. Dzięki temu matematycy przetrwali. Rozwój polskiej powojennej historiografii można by lepiej zrozumieć, gdyby – puszczając wodze fantazji – założyć, że odbyło się takie fikcyjne zebranie polskich historyków, którzy postanowili wytłumaczyć komunistom, że historiografia to szperanie w archiwach i robienie przypisów. Skądinąd takie samoograniczenie było oczywiste i dzięki niemu w okresie PRL większość historyków spełniła swoje zadanie, broniąc pewnego poziomu uprawiania nauki, i chwalała im za to. Dzięki takiej postawie w jakże trudnej dla nauki sytuacji w PRL mogli oni zrobić tak wiele. Bilans polskiej historiografii z tamtego okresu wypada przecież nader pozytywnie. Jednak ceną za tę bardzo pozytywistyczną szkołę uprawiania historii było odżegnywanie się od takiego o niej opowiadania, jakie uprawiają Anglosasi, no i oczywiście historia nie mogła mieć nic wspólnego z polityką. Właśnie związku

z tym wytworzyło się to, co pan Gawin nazwał idiosynkrazją historyków wobec polityki. Tylko że owa ucieczka od polityki w tamtym okresie była jak najbardziej uprawianiem polityki. Tego zdaje się nie rozumieć mój przyjaciel Andrzej Friszke, z którym razem prowadziliśmy młodzieżowe seminaria historyczne w ramach warszawskiego KIK.

**D. Gawin:** Osobną kwestią jest lustracja, która pojawiła się, zanim hasło polityki historycznej zostało sformułowane *expressis verbis*. To temat na osobną dyskusję. O ile obszar, o którym wcześniej mówiłem, dotyczy świadomości zbiorowej, a wpływanie nań jest trudniejsze, następuje poprzez subtelniejsze oddziaływanie pośrednie, to kwestie lustracji i IPN przekładają się na prawo, dotyczą „ciężkiego” instrumentarium, jakim posługuje się państwo: ustawodawstwa.

**K. Wóycicki:** Spór o lustrację i nieumiejętność jej przeprowadzenia w latach dziewięćdziesiątych dowodzą właśnie słabości tego okresu. Oczywiście, materia prawna jest tu nieprawdopodobnie delikatna, bo – jak pan Gawin słusznie zauważył – używa się twardych narzędzi państwa, to już nie jest tylko debata intelektualna. Jednak dyskusja o postawach jest elementarną potrzebą demokracji. Wypominanie zwykłemu Kowalskiemu, jak się zachowywał, może być obrzydliwe, szczególnie jeśli to robi sąsiad z niskich pobudek i posługuje się pomówieniem, a nie faktami, natomiast jeżeli ktoś zostaje politykiem i postacią życia publicznego, to tym samym musi się zgodzić na to, żeby jego biografia była publicznie analizowana i przejrzysta w każdym szczególe. I na to właśnie wielu się nie godziło – pod hasłem, że jeżeli zaczniemy lustrować, to zniszczymy autorytety. To niezwykle groźne dla demokratycznego życia politycznego i otwartego społeczeństwa, a w gruncie rzeczy i dla samowiedzy kultury.

Fatalnym falstartem była lustracja Macierewicza, który nie tylko nie umiał jej przeprowadzić, ale też z jego motywacją absolutnie nie można się zgodzić. W tej sytuacji ze zrozumiałych względów „lustracja” stała się dla wielu czymś godnym jedynie potępienia.

Stworzono przy tym bardzo złą kulturę sporu, która polega na tym, że zdaniem jednych, wolno na przykład demaskować społeczeństwo za Jedwabne, ale nie wolno powiedzieć, że Wałęsa kiedyś zrobił coś nieładnego – a drudzy sądzą przeciwnie. Każdy z obozów ma swoje świętości i tabu, służące do atakowania drugiej

strony, i dyskusje bardzo szybko zamieniały się w niemal partyjne spory. Brak w tym anglosaskiej kultury dyskusji, w której wszyscy znają argumenty *pro* i *contra*, a w sporze chodzi o proporcję tych „za” i „przeciw”, a nie o ustalanie granicy między czarnym a białym. U nas od każdego dyskutującego żąda się od razu, żeby się zadeklarował, po jakiej jest stronie.

**A. Friszke:** Lustracja mieści się bardzo blisko centrum sporu o historię: albo traktujemy lustrację jako jedno z wielu narzędzi dociekania prawdy, albo jako młot na wroga – i tak została ona potraktowana, dla zniszczenia pewnych środowisk i ludzi, dla postawienia znaków zapytania, dla obalenia autorytetów, również intelektualnych. Dobrze wiadomo, przez kogo.

**T. Wiścicki:** *Czego właściwie – Panów zdaniem – dotyczyła debata umownie nazywana dyskusją o polityce historycznej? Jaka była jej istota?*

**D. Gawin:** Chcę na to odpowiedzieć jako osoba współ-odpowiedzialna za wprowadzenie do obiegu pojęcia polityki historycznej. Jest to zresztą tłumaczenie, bo to Marek Cichocki – specjalista od Niemiec – przetłumaczył to niemieckie pojęcie na użytek polski. W Niemczech ono funkcjonuje w sposób neutralny, a w Polsce stało się czymś strasznym, dlatego że historycy i – szerzej – inteligencja ma, jak powiedziałem, pewien uraz po PRL wobec prowadzenia polityki w jakimkolwiek obszarze. W latach dziewięćdziesiątych wyobrażono sobie, że w sferze wartości będzie panował leseferyzm, również w kulturze i w pamięci, a leseferyzm prowadzi do darwinizmu. Nieograniczona konkurencja jest w gruncie rzeczy barbarzyństwem i potrzeba było wielu pokoleń europejskiej polityki, żeby ucywilizować to, co w XIX wieku proponowali leseferyści.

Z mojej perspektywy problem lat dziewięćdziesiątych polegał na tym, że przyjęto wówczas leseferyzm w sferze wartości. Uważano, że skoro jest pełna wolność, to prawda obroni się sama, a jeśli się nie obroni, to trudno, ale my i tak będziemy wiedzieli, jak było naprawdę. Dlatego pomysł polityki historycznej nie oznaczał jakichś zamysłów prototalitarnych ani autorytarnych – to jest absurdalne. Oznacza wma-  
wianie złej woli tam, gdzie jej nie było. Z tej perspektywy można to

opisać raczej jako – że użyję pojęcia z dziedziny filozofii politycznej – komunitariańską korektę demokracji liberalnej. To nie był projekt zniesienia funkcjonowania demokracji liberalnej w pewnym obszarze rzeczywistości społecznej i politycznej Polski, tylko właśnie korekta.

**R. Stobiecki:** Jak mi się wydaje, stosunek historyków akademickich do polityki historycznej czy polityki pamięci wiąże się także z tym, że jako środowisko nie zaakceptowaliśmy utraty przez nas rządu dusz, swego rodzaju monopolu na kształt wiedzy historycznej. Jako historycy już nie kreujemy, tak jak to bywało w XIX stuleciu, wizji przeszłości obowiązujących wśród szerokich kręgów społeczeństwa. Musimy się dzielić tą odpowiedzialnością i tym zadaniem, i to nam się jako historykom nie podoba. A poza tym robić tego nie potrafimy.

**T. Wiścicki:** *Z kim się dzielić?*

**R. Stobiecki:** Na przykład z parlamentem, który uchwała rezolucję w sprawie akcji „Wisła” albo Marca 1968 roku..

**D. Gawin:** Albo Narodowy Dzień Powstania Warszawskiego.

**R. Stobiecki:** Właśnie. Musimy się dzielić z sędzią, który wydaje wyrok, czy ktoś był agentem, czy nie. Musimy konkurować z dziennikarzem, który w innej zupełnie konwencji opowiada o przeszłości. Żyjemy w czasach deprofesjonalizacji historii. W tej chwili może o niej mówić każdy i jesteśmy wobec tego bezradni. Jedyny w zasadzie przykład historyka, który się temu nie poddaje i ma w Polsce status autorytetu w każdej dziedzinie – choć nie zawsze nim jest – to Norman Davies, jedyny – mówiąc w języku obowiązującym w tradycji anglosaskiej – „historyk publiczny”, który oddziałuje na grono szersze niż wąski krąg inteligencji.

**K. Wóycicki:** Kiedy mówimy o pamięci społecznej, jesteśmy, że tak powiem, na polu opinii publicznej, gdzie każdy jest historykiem własnej biografii, opowiada ją w społeczeństwie i tę pamięć społeczną współtworzy. Historyk zawodowy nie jest tu w żaden sposób uprzywilejowany. Działania z natury polityczne są w pewnym sensie znacznie ważniejsze od dzieł historycznych: wybudowanie muzeum wymaga decyzji w oczywisty sposób politycznej, natomiast napisanie

książki, również tak znakomitej, jak prace Andrzeja Friszkego, jest indywidualnym wysiłkiem autora.

Opowiadanie o zbiorowej biografii służy także polityce międzynarodowej, jest narzędziem budowania zaufania. Trzeba przy tym bardzo dokładnie wiedzieć, co się chce powiedzieć w tym międzynarodowym dialogu, toczonym w ramach integrującej się Europy. Można powiedzieć, że to jest brak obiektywizmu, bo trzeba do tego dobierać fakty z historii. Ale dobiera je każdy, dlatego że w przeszłości faktów jest nieskończenie wiele.

**A. Friszke:** Mogę się częściowo zgodzić z tym, co powiedział Kazimierz Wóycicki, ale to mnie jako historyka w ogóle nie może dotyczyć. Gdyby historyk przyjął chociaż część tych założeń, stałby się publicystą politycznym, ideologiem, politykiem, ale na pewno nie byłby już historykiem.

**K. Wóycicki:** A co powiedzieć o takim Michale Bobrzyńskim? Był wybitnym historykiem i czynnym politykiem równocześnie. I to nam jakoś nie przeszkadza.

**A. Friszke:** Bobrzyński przedstawiał pewną wizję historii, a równoległe prowadził konkretną politykę konserwatywną. On nie manipulował świadomie historią w celach politycznych.

**K. Wóycicki:** Nie ośmielę się twierdzić, bo byłby to absurd, że Bobrzyńskiego *Dzieje Polski w zarysie* to manipulacja, trudno jednak by było powiedzieć, że w tej klasycznej pozycji polskiej historiografii nie widać – i to dość wyraziście – intencji politycznych autora. Andrzej Friszke jest świetnym historykiem o ogromnym i wspaniałym dorobku, zarazem niewątpliwie o przekonaniach lewicowych. I chwala mu za to, że ma własne poglądy polityczne, które w mądry i wyważony sposób znajdują wyraz w jego piśmarstwie naukowym. Gdyby tych poglądów nie było widać, byłby bezbarwnym archiwistą, a nie jednym z najbardziej liczących się polskich historiografów.

**T. Wiścicki:** *A czy ta zasadnicza różnica, jaką widzimy między Bobrzyńskim a współczesnymi historykami, nie wynika przypadkiem z naszej perspektywy historycznej? Spory, w jakie był zaangażowany,*

*dla nas są historią i nie angażują nas emocjonalnie – w odróżnieniu od dyskusji dziejących się dziś.*

**D. Gawin:** Dyskusjom o polityce historycznej towarzyszy zasadnicze nieporozumienie. Ich krytycy uważają, że zakłada ona nacjonalistyczną definicję narodu. To jako żywo w ogóle nie wynika z tekstów ludzi, którzy pisali o polityce historycznej – oni powoływali się na republikanizm, I Rzeczpospolitą, pojęcie wolności. Punktem wyjścia różnych przedsięwzięć w tej dziedzinie jest przekonanie, że myślą przewodnią narracji o polskiej historii powinno być pojęcie wolności. Mottem naszego Muzeum Powstania Warszawskiego jest cytat z przemówienia delegata rządu na kraj: „Chcieliśmy być wolni i wolność sobie zawdzięczać”, także wolność ma być ideą przewodnią Muzeum Historii Polski. To nieporozumienie może związane jest z tym, że u nas się dyskutuje z własnym wyobrażeniem poglądów przeciwnika, nie zniżając się do czytania jego tekstów, a ta projekcja wynika z tego, po której stronie się go widzi.

**A. Friszke:** To zależy, kto pisał. Były i takie wypowiedzi zwolenników polityki historycznej, które w ten kod nacjonalistyczny ewidentnie się wpisywały.

**D. Gawin:** Ludzi, z którymi się dyskutuje, trzeba rozliczać za teksty, które napisali, i za to, co zrobili, bo wszystko może być przeinaczone albo źle zinterpretowane.

**T. Wiścicki:** *A jaki był bilans dyskusji o polityce historycznej? Co ona nam przyniosła?*

**K. Wóycicki:** Postawiła nas ona wobec pewnych problemów, których właściwie nie rozstrzygnęliśmy. Na przykład takiego, czy wizje przeszłości upowszechniane w ramach polityki historycznej – lub, jak kto woli, polityki pamięci – powinny korespondować z ustaleniami historiografii akademickiej, czy też mogą abstrahować od wiedzy opartej na konsensusie zawodowych historyków. Druga kwestia: czy polityka historyczna może być traktowana jako narzędzie pośredniczące między historiografią a pamięcią i niwelować napięcia między jedną a drugą sferą?

Nasze doświadczenie z polityką historyczną odczytuję jako pewną szansę, a nawet ofertę dla środowiska akademickiego, która to szansa – jak twierdę – nie została dotychczas pełniej wykorzystana. Większość środowiska odrzuciła tę formułę rozmowy o historii Polski i jej relacjach z sąsiadami. Nie ukształtował się u nas taki model rozmowy, który traktowałby politykę historyczną czy politykę pamięci jako kategorię wyłącznie poznawczą, zakorzoną w dyskursie akademickim, tylko zaraz z tyłu głowy mieliśmy skojarzenia polityczne. Może więc nie ma się co kłócić o termin „polityka historyczna” i zastąpmy go łagodniejszym określeniem „polityka pamięci” albo dyskutujmy o „kulturze pamięci”.

Ta dyskusja uświadomiła nam też, jak sędzę, potrzebę prowadzenia badań nad polityką pamięci, i to nie tylko w odniesieniu do Polski, ale także naszych sąsiadów, a także nad tym, jaki wpływ ma ona na nasze z nimi stosunki. Badania w tej dziedzinie mają duże znaczenie. Śledzimy to, co się dzieje w Niemczech w zakresie polityki historycznej i na różny sposób na to reagujemy, w równym stopniu winno się to odnosić do Rosji, Ukrainy czy Białorusi. Wszystkim dyskusjom wokół przeszłości, przede wszystkim najnowszej, które toczą się w Europie, winniśmy się bacznie przyglądać. Przypomnijmy chociażby, do jakiego starcia doszło z Hiszpanią na tle kwestii udziału polskich komunistów w ich wojnie domowej. Jeśli chcemy być rozumiani na Zachodzie, musimy też nauczyć się opowiadać o własnej przeszłości.

**D. Gawin:** A ja mogę powiedzieć, że jestem w pewien sposób usatysfakcjonowany. W demokratycznej rzeczywistości nie odnosi się zwycięstw stuprocentowych. Sukces w 35 czy 40 procentach to bardzo dużo. I po tych ośmiu czy dziewięciu latach można powiedzieć, że zmieniło się naprawdę dużo. Nie upieram się przy pojęciu polityki historycznej – może być polityka pamięci...

**K. Wóycicki:** Albo kultura pamięci.

**D. Gawin:** Niech będzie kultura pamięci.

**K. Wóycicki:** Bo jak się powie „polityka historyczna”, to pojawia się podejrzenie o przynależność do jednej partii, prawda?

**R. Stobiecki:** Bez wątpienia na pojęciu polityki historycznej cieniem położyło się to, że w świadomości szerokich kręgów inteligencji i akademickich historyków została utożsamiona z pomysłem IV RP, co do dzisiaj pokutuje w ich reakcjach. Dlatego właśnie wielu nie chce mieć nic wspólnego z inicjatywami takiego rodzaju.

**A. Friszke:** Całą operację pod hasłem IV RP odbieram jako próbę głębokiej delegitymizacji opozycji demokratycznej i jej całej narracji, a w zasadzie podważenia autorytetu elit umysłowych w ogóle, które uznano za niegodne zaufania z definicji. Spór o autorytety jest zawsze potrzebny, ale tu w ogóle je zanegowano. Delegitymizacji III RP służyło podważenie wiarygodności Wałęsy i zakwestionowanie Okrągłego Stołu, w pierwszym przypadku na podstawie wybranych źródeł archiwalnych, w drugim w ogóle bez sięgania do nich. Ta próba obalenia legitymizacji wolnej Polski dokonana została w interesie politycznym pewnej grupy.

**D. Gawin:** Posłużył się pan profesor takim sylogizmem, że ta grupa chciała zbudować Polskę, która nie byłaby wolna, bo jeżeli chciała obalić legitymizację wolnej Polski, to znaczy chciała zbudować niewolną. Wracamy do mentalnej wojny domowej po 2005 roku, w której po jednej stronie byli obrońcy demokracji, a po drugiej faszyci.

**A. Friszke:** Polska jest wolna. Ta grupa chciała zbudować Polskę jednej partii, w której narracja historyczna legitymizująca państwo byłaby tylko po stronie zwolenników IV RP – tam nie było miejsca na pluralizm, bo nie było też miejsca na dyskusję o podzielności racji, złożoności procesu historycznego i komplikacji ludzkich postaw. Były za to mocne i arbitralne oceny.

**D. Gawin:** Proponowałbym odwalić ciężki kamień, którym stała się mentalna zimna wojna domowa po wyborach w 2005 roku. Ten kurz jeszcze nie opadł i dlatego zapominamy, jak wyglądał początek XXI wieku. Samo pojęcie zmiany w sferze polityki pamięci było tylko jednym z elementów, jak to nazwał Rafał Matyja, rewolucji semantycznej z lat 2002–2004, która doprowadziła do zasadniczego upadku formacji postkomunistycznej. Mówię o tym, żeby przypomnieć wielki proces obywatelskiego odrodzenia tamtego okresu. Hasło poli-

tyki historycznej, polityki pamięci było jednym z elementów tamtej fali. Możemy dyskutować, co się stało potem, ale niezależnie od tego, jak potem potoczyły się losy PiS i Platformy, satysfakcjonuje mnie to, że dzisiaj obie te partie powołują się na hasło polityki historycznej.

Politycy – niezależnie od tego, z jakiej strony politycznej pochodzą – wiedzą już, że muszą finansować duże przedsięwzięcia z dziedziny polityki pamięci, takie jak Muzeum Historii Polski, Muzeum Historii Żydów Polskich, Muzeum II Wojny Światowej, Europejskie Centrum Solidarności. Co więcej, państwo także zrozumiało, że ma pewne obowiązki w sferze polityki zagranicznej, wiążące się z polityką pamięci, bo polskie usytuowanie – mówiąc w dużym uproszczeniu – pomiędzy posthistorycznymi Niemcami a bardzo historyczną Rosją wymaga specjalnego instrumentarium oddziaływania w naszym otoczeniu. I państwo w końcu zrozumiało, że ma tutaj pewne zobowiązania i polska opinia publiczna jest gotowa rozliczać z działań w tym obszarze.

Trwałym owocem tych wszystkich sporów, które przetoczyły się w ostatnich latach, jest przede wszystkim uznanie prawomocności dyskusji nad tym problemem. Rozmawia się nie o tym, czy ma być polityka pamięci, tylko jaka ona ma być. To zasadnicza zmiana, bo pamiętam, jak się te dyskusje zaczynały, na długo przed IV RP.

Drugą kwestią jest moim zdaniem ostateczne przypieczerowanie przez tę dyskusję wspomnianej rewolucji semantycznej – odejścia fazy postkomunizmu i samych postkomunistów jako formacji politycznej, a zwycięstwa tak czy inaczej definiowanej centroprawicy, i to na długo. Bez względu na to, kto konkretnie rządzi, buduje się kanon pamięci zbiorowej III RP, którego jestem zwolennikiem i cieszę się, że on został ostatecznie domknięty. Stało się to w zeszłym roku po obchodach rocznicy wyborów 4 czerwca. Co jest pewnym paradoksem, ta data jako symbol nowej Polski – a nie Okrągły Stół – zwyciężyła bynajmniej nie dzięki zwolennikom IV RP, tylko w Polsce rządzonej przez PO. Spontanicznie podchwyciły to też media, także komercyjne. O ile wcześniej nie było jasne, kiedy upadł komunizm, a w odpowiedzi na to pytanie padały różne daty, teraz stało się oczywiste, że było to 4 czerwca. Aleksander Kwaśniewski chciał uczynić Okrągły Stół relikwią legitymizacyjną w Pałacu Prezydenckim, ale to się nie udało – wspólnota Polaków spontanicznie zdecydowała inaczej. Nastąpiło ostateczne zwieńczenie pewnego procesu, dzięki któremu w pamięci

zbiorowej utrwalił się ciąg wydarzeń: 1918, 1920, Armia Krajowa, Powstanie Warszawskie, „Solidarność”, 4 czerwca 1989. To nie pasowało do lat dziewięćdziesiątych – wtedy dominował Okrągły Stół, który był kompromisem, a w wyborach 4 czerwca byli wygrani, a co za tym idzie – byli też przegrani.

**K. Wóycicki:** Wydaje mi się, że jest Pan nadmiernym optymistą. Śledząc niemieckie spory historyków uważam, że w dyskusjach nad naszą historią nie jesteśmy wcale mniej dojrzałsi od Niemców. Mimo że irytuje mnie emocjonalny ton wielu sporów i zaciętrzewienie stron, to jednak są to spory ważne i ciekawe, świadczące też o pluralizmie postaw i pasji dyskusowania. Jednak sposób obecności 1989 roku w świadomości europejskiej jest bardzo poważną porażką polskiej polityki historycznej. Ten ciąg dat, które wymienił pan Dariusz Gawin, w Europie w ogóle nie funkcjonuje. Nie udało się nam przekonać Europy, że w 1989 roku kończy się etap historii, który zaczął się w 1939; że pewien pomysł Europy Środkowej, który się wyłania po pierwszej wojnie światowej, ginie w związku z paktem Hitler-Stalin i powraca po pięćdziesięciu latach. W naszych obchodach 2009 roku całkowicie rozdzielono dwie daty, które się ze sobą ściśle łączą – rok 1939 i 1989. To Czesi, a nie Polacy przeprowadzili w Parlamencie Europejskim ustanowienie dnia totalitaryzmu. Gubimy się w naszych opowieściach o 1939 roku. Zamiast o pakcie Hitler-Stalin mówimy o 1 i 17 września – takiej komplikacji nikt w Europie nie potrafi zrozumieć.

**D. Gawin:** Ale mamy już pewne narzędzie, z którego możemy robić lepszy i gorszy użytek. Jeśli nawet teraz korzystamy z niego nie najzręczniejszy, mamy szansę w przyszłości zrobić to lepiej.